

GŁOS MISJI WEWNĘTRZNE

Rok II.

Czerwiec

Nr. 6.

Cena
30 gr



„W tym znaku zwyciężysz”

Treść.

Koronka do Ducha Św.	161
Tylko serce uratuje świat	166
„...I odpuść nam nasze winy...	175
„Chcemy widzieć Jezusa“	179
Mali święci	181
U źródeł Sodalicji (Kongregacji)	183
Roczne pokłosie Misji Wewnętrznej	186
Kaplica w lesie	188
Chorzy! Możecie być... apostołami!	190
Nieco ze świata	okładka 4

Przeczytaj — ale i zgłoś się na jeden z kursów rekolekcyj zamkniętych!

W domu Rekolekcyjnym w Kokoszycach w czerwcu odbędą się następujące kursy:

1. *Dla Związku Katol. Polek* od 30. V. — 3. VI.
2. *Dla S. M. P.* od 3. VI. — 7. VI.
3. *Dla Mężów Katolickich* od 12. VI. — 16. VI.
4. *Dla młodzieńców* od 17. VI. — 21. VI.

Początek kursu pierwszego dnia wieczorem, koniec ostatniego dnia rano. Koszty: (prócz przejazdu) dla dorosłych 18,— zł, dla młodzieży 15,— zł. Zgłoszenia przesłać do Sekretarjatu Rekolekcyjnego Katowice, ul. M. Piłsudskiego 20.

U w a g a:

Ci, którzy chcą jechać teraz lub później na rekolekcje z tak zwanymi „Książkami Oszczędnościowymi“, niech nalepią na nich znaczków 50 groszowych na kwotę: 18,— zł dla dorosłych, dla młodzieży zaś na 15,— zł.

A kto jeszcze nie wie dotąd co to są Książeczki Oszczędnościowe, to niech sobie przeczyta artykuł z 3-ciego numeru „Głosu Misji Wewnętrznej“ t. j. z marca r. b. na str. 79 p. t. „Kasa oszczędności dla dusz“.

Koronka do Ducha Św.*)

„Nie zostawię was sierotami“ (Jan XIV, 18); „A ja prosić będę Ojca, a innego Pocieszyciela dać wam, aby z wami mieszkał na wieki, Ducha prawdy“ (Jan XIV, 16, 17). — Oto zapowiedź Chrystusa Pana. Siebie samego, Kościół św. i wiernych wszystkich Chrystus Pan, odchodząc z tego świata, oddał pod opiekę Ducha Św.

Duch Św. kieruje Kościołem, napelnia światłami natchnieniami ducha ludzkiego, ożywia go i prowadzi ku wiecznemu celowi.

Nabożeństwo do Ducha Św., bezpośredniego opiekuną nas wszystkich, wszystkich ludzi jest obowiązkiem i potrzebą serca. Nie zrozumie działalności Chrystusowej na ziemi i Jego Kościoła, kto nie pojmie działania Ducha Św. wśród ludzi, nie pokocha Ducha Św. i nie nauczy się czcić Go z głęboką wdzięcznością za Jego dary.

Pragnąc rozpowszechnić i ułatwić nabożeństwo do Ducha Św. polecam niniejszą Koronkę jako jeden z najpiękniejszych, najgłębszych i najlepszych sposobów uczczenia trzeciej Osoby Trójcy św., a przez Nią całej Trójcy Przenajświętszej.

Do duszy naszej wstępuje Duch Św. już z chwilą chrztu. We Chrzcie św. na pytanie kapłana odpowiadamy sami lub w naszym imieniu rodzice chrzestni, że żądamy od Kościoła wiary, która daje żywot wieczny. A Kościół, zanim nas przyjmie do społeczeństwa wiernych, żąda od nas wyrzeczenia się ducha złego, wszystkich spraw jego i wszystkiej pychy jego. Następnie żąda Kościół św. wyznania wiary w trzy Osoby Trójcy Przenajświętszej i dopiero potem przez Chrzest św. przyjmuje nas do Kościoła, z aktem Chrztu św. łącząc przepiękne obrzędy i modlitwy, które wszystkie obracają się dokoła wyrzeczenia się zła a wprowadzenia do duszy Ducha Św.

„Zaklinam cię, duchu nieczysty“, modli się Kościół, „w imię Ojca i Syna i Ducha Św., abys odszedł i opuścił tego sługę Bożego, albowiem Ten ci rozkazuje, nieszczęsny potępięncze, co chodził po morzu i Piotrowi tonącemu podał rękę... daj cześć Bogu żywemu i prawdziwemu, uczcij Jezusa Chrystusa, Syna Jego, i Ducha Św. i odejdz od tego slugi Bożego,

*) Na str. 163 niniejszego zeszytu „Głosu Misji Wewn.“ podajemy aprobowaną przez Kościół i obdarzoną odpustami Koronkę do Ducha Św.

gdyż Bóg i Pan nasz, Jezus Chrystus, powołać go raczył do Swej św. łaski, błogosławieństwa i chrztu."

A poraz wtóry splywa łaska Ducha Św. na człowieka w Sakramencie Bierzmowania św., ażeby go uczynić rycerzem Chrystusowym, odważnym bojownikiem o prawdę i wiarę.

„Duch Święty niechaj splynie na was, a moc Najwyższego niechaj was strzeże od grzechu“ modli się nad bierzmowanymi Biskup i wyciągając ręce nad nimi prosi:

„Wszchemocny wieczny Boże, który raczyłeś odrodzić te slugi Twoje z wody i Ducha Świętego i daleś im grzechów wszystkich odpuszczenie: ześlij na nich siedmiorakie Ducha Świętego, niebieskiego zesłańca dary:

Ducha mądrości i rozumu

Ducha rady i męstwa

Ducha świadomości i pobożności.

Napełnij ich Duchem bojaźni Twojej i naznacz ich znakiem krzyża Chrystusowego ku szczęśliwemu żywotowi wiecznemu."

A potem namaszcza czoło bierzmowanemu chrzyżmem świętem — na znak powołania do rycerstwa Chrystusowego — i uderza go w policzek, by pamiętał, że rycerz Chrystusowy dla Chrystusa walczyć winien i umieć ponosić ofiary.

W tajemnicach Koronki niniejszej rozważa się i przypomina cuda dzieł Ducha Św. w duszy ludzkiej, a więc łaskę Chrztu św., Bierzmowanie, zesłanie Ducha Św. na ludzkość i na Kościół św., to dzieło Chrystusowe, w którym żyje i panuje Duch Św., przez które Bóg ludzkość wiedzie do wiecznych celów.

Poszczególne tajemnice Koronki rozpoczynają się rozmyślaniami, którego przedmiot określa ustęp z Pisma św., dotyczący działalności Ducha Św. Rozmyślanie nie powinno się kończyć na przeczytaniu podanego w książce zdania, lecz przeczytawszy temat rozmyślenia, niechaj odprawiający Koronkę w miarę możliwości i czasu jaknajgłębiej zastanowi się nad prawdą podaną. Ćwiczenie zaś, które następuje po rozmyśleniu, jest treścią modlitwy, która może i powinna trwać zależnie od woli i czasu modlącego się.

Koronka do Ducha Św. zbliża do duszy prawdy Boże o Duchu Św., a łaska Ducha Św. rozświetli serca ludzkie i pozwoli nam ujrzeć dobroć Bożą w całej piękności i wspaniałości. Daj Boże, aby piękna ta Koronka jaknajwięcej duszom pozwoliła poznać Ducha Św. i zbliżyć się do Niego.

† Stanisław Adamski,
Biskup śląski.

Koronka do Ducha Św.¹⁾

Wstęp: W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Akt skruchy: Boleję, o mój Boże, że zgrzeszyłem przeciw Tobie, a Ty tak dobry jesteś: ale przy pomocy łaski Twej nie będę więcej grzeszył.

Hymn do Ducha Św.

Przybądź Duchu Stworzycielu, * Dusz ludzkich Nauczycielu, * Racz łaską Swoją obdarzyć * Serca, któreś raczył sprawić.

Tyś Pocieszycielem zwany, * Darem Bożym mianowany, * Żywem źródłem i miłością, * Ogniem i duszną światłością.

Darów Twych siedem liczymy, * Palcem Bożym być Cię wiemy, * Obietnicąś jest Ojcowską, * Zdobiac w nas miłość synowską.

Racz dać zmysłom dar światłości, * Pomnażaj w sercach miłości; * A krewkość serca naszego * Utwierdź mocą Bóstwa Swego.

Odpędź od nas czarta złego, * Użycz pokoju Twojego. * Aby za Twoją obroną * Złe odeszło inną stroną.

Racz nam Ojca niebieskiego * Dać poznać i Syna Jego, * I Ciebie, Ducha Świętego, * Od obu pochodzącego.

Bogu Ojcu Wszechmocnemu, * Synowi zmartwychwstałemu * Wraz z Duchem Świętym społecznie * Niech brzmi chwała na wiek wiecznie. Amen.

Ź. Ześlij Ducha Twojego a wszystko na nowo stworzonym będzie.

R. I odnowisz oblicze ziemi.

Módlmy się: O Boże! któryś serca Twoich wiernych oświeceniem Ducha Świętego nauczyć raczył, daj nam w tym Duchu wszystko dobrze zrozumieć i z Jego pocieszenia zawsze się weselić. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

I. TAJEMNICA.

Za sprawą Ducha Św. Pan Jezus poczęty z Najśw. Marji Panny.

Rozmyślanie: „Duch Św. zstąpi na Cię i moc Najwyższego ogarnie Cię, jak obłok: a przeto Istota święta, która się z Ciebie narodzi, będzie zwana Synem Bożym“ (Łuk. I, 35).

¹⁾ Koronka niniejsza znajduje się także w „Skarbcu“, nowej diecezjalnej książce do nabożeństwa.

Ćwiczenie: Proś jaknajgoręcej Ducha Św. o pomoc a Matkę Najświętszą o wstawiennictwo, byś mógł naśladować cnoty Jezusa Chrystusa, który jest wzorem cnót, byś się mógł upodobnić do wzoru Syna Bożego.

Modlitwa: 1 Ojcze nasz, 1 Zdrowaś Marja i 7 Chwała Ojcu.

II. TAJEMNICA.

Duch Św. spoczywa na Jezusie.

Rozmyślanie: „A po chrzcie Jezus wyszedł niezwłocznie z wody: i ot niebiosa otworzyły się przed Nim: i ujrzał Ducha Bożego, spływającego, jakby gołębica i przychodzącego nań“ (Mat. III, 16).

Ćwiczenie: Ceń sobie ponad wszystko niewypowiedziane drogą łaskę poświęcającą, którą ci wlał do serca Duch Św. na Chrzcie św. Wypełnij przyrzeczenia, które wtedy złożyłeś. Pomnażaj w sobie Wiarę, Nadzieję i Miłość przez wykonywanie tych cnót. Zawsze tak żyj, jak winny żyć dzieci Boga, członkowie Kościoła św., byś po doczesnem życiu objął wieczne dziedzictwo.

Modlitwa: 1 Ojcze nasz, 1 Zdrowaś Marja i 7 Chwała Ojcu.

III. TAJEMNICA.

Duch Św. wie dzie Jezusa Chrystusa na pustynię.

Rozmyślanie: „A Jezus pełen Ducha Św. wrócił z nad Jordanu i prowadzony był przez ducha na pustkowiu czterdzieści dni i był kuszony od szatana“ (Łuk. IV, 1, 2).

Ćwiczenie: Stale wzbudzaj akty wdzięczności za siedmiorakie Dary Ducha Św., które otrzymałeś w czasie Bierzmowania, za dar mądrości i dar rozumu, za dar rady i męstwa, umiejętności, pobożności, bojaźni Bożej. Bądź wiernym Boskiemu Wodzowi, byś we wszystkich niebezpieczeństwach i pokusach tego życia postępował z męstwem, jak to przystoi doskonałemu chrześcijaninowi i dzielnemu zapaśnikowi Jezusa Chrystusa.

Modlitwa: 1 Ojcze nasz, 1 Zdrowaś Marja i 7 Chwała Ojcu.

IV. TAJEMNICA.

Duch Św. w Kościele.

Rozmyślanie: „W tem zagnała spadł z nieba szum, jak gdyby zrywającej się silnej wichury i napełnił dom cały, gdzie siedzieli: wszyscy też napełnieni Duchem Św. zaczęli głosić rozmaitemi językami wielkie dzieła Boże“ (Dz. Ap. II, 2, 4, 11).

Ćwiczenie: Złóż Bogu podziękowanie, że cię uczynił dzieckiem Kościoła Swego, którym stale kieruje i ożywia go Duch Św., zesłany w dniu Zielonych Świąt. Bądź posłuszny Ojcu św. i idź za nim, bo On przez Ducha Św. naucza nieomylnie, słuchaj

też Kościoła, bo On jest niewzruszalnym filarem prawdy. Czcij jego dogmaty, występuj w ich obronie i w obronie praw Kościoła.

Modlitwa: 1 Ojcze nasz, 1 Zdrowaś Marja i 7 Chwała Ojcu.

V. TAJEMNICA.

Duch Św. w duszy sprawiedliwego.

Rozmyślanie: „Czyż nie wiecie, że jesteście świątynią Ducha Św., który w was mieszka?“ (I. Kor. VI, 19). „Nie gaście Ducha!“ (I. Tess. V, 19). „Nie zasmucajcie Ducha Św. Bożego, którym jesteście znaczeni na dzień odkupienia“ (Ef. IV, 30).

Ćwiczenie: Ciągłe pamiętaj o Duchu Św., który mieszka w tobie, i ze wszystkich sił staraj się o zachowanie czystości duszy i serca. Pilnie słuchaj Bożych Jego natchnień, byś przyniósł owoce Ducha Św.: miłość, radość, pokój, cierpliwość, łaskawość, wielkoduszność, umiarkowanie, wierność, skromność, wstrzemięźliwość, czystość.

Modlitwa: 1 Ojcze nasz, 1 Zdrowaś Marja i 7 Chwała Ojcu.

Na zakończenie: Wierzę w Boga.

Odpusty: Siedem lat i tyleż kwadragen raz w dniu. Odpust zupełny raz na miesiąc na zwykłych warunkach, gdy się codziennie odmówiło tę Koronkę przez cały miesiąc (Brewa, 24 marca 1902 roku, Św. Pen. Ap. 17. IV. 1927).

Modlitwa.

Duchu Święty, Boski Duchu światła i miłości, Tobie poświęcam rozum, serce, wolę i cały mój byt, teraz i na wieki. — Niech umysł mój zawsze będzie skłonny na przyjęcie Twych natchnień niebieskich i nauki św. Kościoła katolickiego, którego przewodnikiem jesteś nieomylnym; niech serce moje bezustannie goreje miłością do Boga i do bliźnich; niech wola moja będzie zawsze zgodną z wolą Bożą i całe moje życie wiernem naśladowaniem życia i cnót Pana naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa, któremu razem z Ojcem i Tobą niech będzie cześć i chwała na zawsze. Amen.

300 dni odpustu raz na dzień (Pius X, 5 czerwca 1908 r.).





Tylko serce uratuje świat.

W czasie czytania Pisma św., a czytałem wtedy ową prześliczną mowę pożegnalną Pana Jezusa w Wieczerniku — uderzyło mnie nagle jedno powiedzenie Pana Jezusa, zwrócone do Apostołów: „Przykazanie *nowe* daję wam, abyście się społecznie miłowali.“

Po tem powiedzeniu wygłosił Pan Jezus długie i wspaniałe kazanie o miłości a zakończył je najśliczniejszą modlitwą, jaką świat zna, zwróconą do Boga o cnotę miłości w życiu Apostołów i wszystkich, którzy za Jezusem pójda. (Warto przeczytać z Ewangelji św. Jana rozdz. 14—18.)

„Aby miłość, którą Mnie umiłowałeś, była w nich i Ja w nich.“

Mimowoli nasunęło się mi wtedy pytanie: Jakto, czyż przed Jezusem nie istniała na świecie miłość wśród ludzi?... że Pan Jezus powiada: „*nowe* przykazanie daję wam, abyście się — miłowali“?

Wyraz „miłość“ spotykamy przecież we wszystkich językach, nawet wśród najdzikszych ludzi.

Odkąd bowiem zaistniało na świecie życie ludzkie, to pierwsze uderzenie serca ludzkiego wołało o miłość, choć nieświadomie, a ostatnie tem głośniej o nią woła.

Nawet u najdzikszych ludzi serce jest symbolem miłości.

I słusznie, gdyż Sam Bóg, stwarzając serce ludzkie, zamknął w niem ten nienasycony głód miłości.

W sercu człowieka a nie na tablicach kamiennych wypisał Bóg pierwsze przykazanie miłości.

Dlaczegoż więc powiada Pan Jezus: „*Nowe przykazanie daję wam, byście się społecznie miłowali*“?

Otóż i to prawda jest, że ludzkość od samego zarania swego istnienia znała miłość, ale i to prawdą jest niemiejszą, że miłość, jaką Jezus przyniósł na świat, jest naprawdę nową.

Tacy, co znają Pismo św. może tylko z okładek i nigdy go nie czytają, albo tacy, co czytali tylko powierzchownie, ośmielili się postawić twierdzenie, że Religja Chrystusowa już się przeżyła, że Jezus nic nowego nie powiedział w kwestji przykazania miłości bliźniego.

By obalić całkowicie to bluźniercze powiedzenie, a równocześnie wykazać, że Chrystjanizm *nie tylko, że nie przeżył się, ale nawet, że się jeszcze nie zaczął w życiu wielu nawet ochrzczonych...* porównajmy ważniejsze systemy religijno-filozoficzne dawnego świata, a przekonamy się, że przykazanie miłości bliźniego, dane Apostołom w Wieczerniku, jest rzeczywiście nowe...

„Życie to walka o serce, które podbić i opanować usiłują żądź tysiące... Człowiek stworzony jest do miłości, pragnie kochać i być kochanym“ (ks. dr. Ciemniowski).

Głód miłości, to wieczna żądza naszego „ja“.

Może człowiek mieć wszystkie czynniki, jakimi świat rozporządza dla zadowolenia ludzkości... może mieć najwyższą władzę, największe bogactwa, tytuły, zaszczyty, zaspokojenie nawet zachceń wszelkich, jednak gdy czuje koło siebie brak miłości, jest najnieszczęśliwszy.

Na jednym ze swoich światowych zebrań żydzy, ci, którzy trzęsą światem w posiadach, bo mają w rękach wszystkie niemal banki i giełdy a przez to decydujący wpływ na wszystkie rządy świata, tak przez pieniądz i prasę, jak i przez organizacje masońskie, wyznali z wielkim bólem, że mimo wszystko czują się bardzo nieszczęśliwi.

Jeden z najwyższej rady żydowskiej tak powiedział: „*Dalibyśmy więcej niż połowę naszego majątku, gdybyśmy zdołali zdobyć miłość wśród ludzkości, jednak wiekowe doświadczenia wykazują, że to pragnienie pozostanie dla nas nieziszczalne.*“

Można być pozbawionym i wiedzy i majątku i tytułów... ale gdy się ma to poczucie, że się jest kochanym, czuje się człowiek szczęśliwym.

Siła żądzy miłości w ludzkim sercu jest tak potężna, że wszystko i wszystkich zaprzęga do pracy, by znaleźć zaspokojenie.

Przełóżmy rejestr największych filozofów i prawodawców świata, twórców religji, a przekonamy się, że *zaspokojenie ludzkiego serca było dla wszystkich najważniejszem*, jako podstawa do najszczęśliwszego ustroju społecznego.

A jednak Chrystus, który jako Bóg-Człowiek znał doskonale te wszystkie wysiłki, które aż do gorączki rozpałały mózgi ludzkie, silące się na zaspokojenie żądzy miłości serca ludzkiego, wyraźnie powiedział: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali“ i nie zadowolił się samem przykazaniem, ale długo i serdecznie modlił się, by Apostołowie to nowe przykazanie i zrozumieli i w czyn wprowadzili.

* * *

Jeśli badamy dzieje najpierwotniejszych ludów, przekonujemy się, że wszędzie istniało prawo miłości, jako nakaz serca ludzkiego.

I tak najdzikszy poganie Afryki czy Azji znali przykazanie miłości, które się da ująć w takie prawo: „Kochaj to, co ci przyjemne, kochaj tych, z których masz korzyść.“

Ślicznie to ilustruje nasz Sienkiewicz w dziele p. t. „W pustyni i puszczy“, gdzie Kalemu dzikusowi wkłada w usta taką odpowiedź na pytanie Stasia: „Co jest dobre?“ (co daje zadowolenie sercu?).

„Dobre jest to“, odpowiada Kali, „jeśli Kali weźmie komu krowę, złe zaś jest to, jeśli Kalemu kto krowę zabierze.“

Jeśli miłość ludzka oprze się na zasadzie „Kochaj to, co ci przyjemne“ — to chyba cały świat musi zamienić się w olbrzymi kryminal i dom poprawy, bo... bandycie będzie miły rabunek, alkoholikowi pijaństwo, rozpustnikowi bezwstyd... wogóle zaleje świat orgja zła i nieszczęść.

Gdy jednak przyglądamy się uważnie życiu dzisiejszych katolików, to dojdziemy do przekonania, że to najbardziej pogańskie i brutalne prawo „*Kochaj to, co ci przyjemne*“ — *panuje dzisiaj niepodzielnie*.

Zapytajmy dzisiaj kogoś, „dlaczego z tą lub z ową osobą żyje bliżej, dlaczego ją serdeczniej kocha?“ — dostaniemy odpowiedź: „bo mi jest przyjemną, bo mam z niej korzyść“.

Jednak świat pogański znał inne przykazanie miłości.

Oto cztery wieki przed Chrystusem mędrzec chiński, Meti, zalecał miłość, polegającą na delikatności.

Atoli delikatność, choć już jest pewnym rodzajem miłości bliźniego, jeśli zasada się tylko na zewnętrznych formach grzecznościowych, na słodkich wyrazach i komplementach, dalej polegająca na tem, że się nikomu nic przykrego nie powie — nikogo nie obrazi, do każdego grzecznie mówi, wystarczy tylko dotąd, póki nas nikt nie obrazi — póki wszyscy dla nas grzeczni.

Delikatność to doskonała pokrywka obłudy i fałszu rozmaitych „lwów i lwic salonowych“, którzy całe swoje towarzyskie ogładzenie wysilają na zewnętrzne formy i puste frazesy, to ludzie najbardziej nieszczerzy, obłudni i podstępni.

Zrobić takiemu mimowolną przykrość, to to samo, co wbić kij w mrowisko.

Salonowość, powierzchowna etykieta nie jest cnotą miłości, to tylko chytra przezorność dla wygody życia.

Gdybyśmy zapytali się Chrystusa, co sądzi o tak zwanej dworskości, to dostalibyśmy odpowiedź, skierowaną do faryzeuszów: „pobielane groby“.

Na miłość Boską, poco udawać dworskość i ogładę, co tylko paczy charakter, kiedy lepiej być delikatnym i uprzejmym stale i w każdym wypadku, bo to wyrabia charakter.

Lecz inni mistrzowie Wschodu, mianowicie Gautama i Lao-tse, głoszą miłość nawet dla podlejszych od siebie.

Ta sama w sobie piękna zasada znalazła wyznawców nawet wśród wytwornych Rzymian.

Popatrzmy jednak, jak była stosowana w praktycznym życiu.

Jako najpoważniejszy przykład posłuży nam życie wielkiego filozofa rzymskiego Seneki, który przez wielu dzisiejszych „uczonych“ jest porównywany nawet z Samym Chrystusem.

Rzeczywiście Seneka głosił powszechną równość, pod którą mieli być podciągnięci nawet niewolnicy... głosił pogardę dla bogactw, ale... Seneka sam posiadał niewolników i zgromadził poważny majątek.

A kto zna bliżej jego życie, ten wie, że nie szło ono według zasad wyżej zacytowanych, bo ówo wspieranie nieprzyjaciół było tylko dobroczynnością dla poklasków; zaś zapominanie krzywd było giestem dumy, która powiada: ten lub ów człowiek nie jest zdolny mnie obrazić, bo to plebeusz, bo on w niczem ze mną równać się nie może.

Niektórzy Rzymianie chełpliwie spełniali zalecenia mędrca Seneki i nawet niewolników wolnością obdarzali.

Lecz jakżeż opłakany był los takiego wyzwolenca, jeśli choć na chwilę zapomniał o wdzięczności, o pochwałach i pochlebstwach dla swego „łaskawego pana“, gdy przestał czołgać się, jak pies jakiś za pańską nogą, która nim pogardliwie potrącała?

A niechby odważył się popełnić choćby najmniejszy giest niewdzięczności, to ginał gorzej i srożej męczony, niż najpodlejszy niewolnik.

Dawali nieraz bogaci Rzymianie chleb i pieniądze dla biednych, ale ten chleb wyrósł na drożdżach ich pychy, a pieniądź miał wydzwaniać ich dobroć.

Taka miłość w porównaniu z Ewangeliczną, to okrucieństwo, to krwiożerczość.

Rzymska miłość w wydaniu Seneki знаła jednak i pochwałała skałę tarpejską, o którą roztrzaskiwano główki dzieci, gdy się rodzicom nie podobały.

Nie wypada, raczej nie wolno pominąć Grecji, która dała światu najgenialniejszych filozofów, jak Sokrates, Platon i Arystoteles, tem bardziej, że Arystotelesa nazywają niektórzy chrześcijańskim filozofem.

Co mówi Sokrates o miłości bliźniego?

„Najwyższej chwały godzien jest ten, kto ubiega swoich nieprzyjaciół... (przetrzejmy oczy), czyniąc im krzywdę, i swoich przyjaciół, świadcząc im dobrodziejstwa.“

Zaiste czarny Kali naszego Sienkiewicza nie powstydziliby się mistrza Sokratesa.

U Sokratesa spotyka się częste powiedzenia, że człowiek nie powinien czynić źle — przez szacunek dla siebie. A więc z samolubstwa i dumy.

No a Arystoteles?

Naprawdę wierzyć się nie chce, gdy się odczyta takie zdanie Arystotelesa, napisane w Etyce: „Nie odpowiadać na krzywdy — jest znamieniem człowieka podłego i raba.“ A więc i Grecja zawiodła ludzkie serce.

Zostaje jeszcze sławny Konfucjusz ze swem powiedzeniem: Kochaj bliźniego, jak siebie samego.

Czyż nie to samo zdanie powiedział Chrystus, gdy go zapytano: „Które jest największe przykazanie w Zakonie?“ Przecież wtedy Jezus powiedział: „Będiesz miłował Pana Boga twego z całego serca twego i z całej duszy twojej i ze wszystkiej myśli swojej... a wtóre jemu równe: Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego.“

To samo powiedzenie było wypisane w świętych księgach żydowskich i właśnie z nich Jezus zacytował powyższe zdanie... zatem rzeczywiście Chrystus nic nowego nie powiedział, tylko powtórzył starą zasadę dawno znaną.

Ale poczekajmy.

Przypatrzmy się przedtem, jak to wspaniałe ujęcie zasady miłości bliźniego, tak wspaniałe, że Sam Chrystus powtórzył je, jak ono w życiu było praktykowane. Niech nam zilustruje ten naród, który szczyci się mianem narodu wybranego — naród izraelski.

Otóż poczciwy żyd, który nietylko znał swoje Pismo święte, ale nawet litery w niem porachował, gdy stanął wobec praktycznego zagadnienia miłości bliźniego, tak sobie radził z owem największem przykazaniem.

Oto najpierw brał słowo za słowem i rozważał je etymologicznie: „Bliźni, to ten, co jest mi bliski czy to krwią, czy pokoleniem, czy wreszcie narodowością.“ Kto więc nie jest żydem, tego trzeba nienawidzić.

„Jak siebie samego.“ Żyd, gdy mu nie idzie interes, gdy zrobił pomyłkę, to jest zły na siebie... jeśli na siebie gniewać się może, to czemu i względem bliźniego ma się inaczej zachować?

I tak to najwspanialsze przykazanie w życiu codziennem zostaje zrównane z zasadą: „Kochaj, co ci przyjemne“, „Oko za oko, ząb za ząb“.

A teraz zobaczmy miłość bliźniego według nauki Jezusa.

„Słyszeliście, że powiedziano: Będiesz miłował bliźniego twego... A ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioly wasze, dobrze czynicie tym, którzy was prześladują i potwarzają... abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech: który czyni, że słońce Jego wschodzi na dobre i złe, i spuszcza deszcz na sprawiedliwe i niesprawiedliwe.

Albowiem, jeśli miłujecie tych, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? Aż i celnicy tego nie czynią? A jeśli-byście pozdrawiali tylko bracię waszą, cóż więcej czynicie? Aż i poganie tego czynią?

Badźcież tedy wy doskonali, jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest.“

Oto nauka Chrystusa, oto Jego nowe przykazanie miłości. Jakżeż inaczej ona wygląda od wyżej przytoczonych.

Słowa krótkie, proste, bez gmatwaniny filozoficznej i „logicznych“ wybiegów i wykrętów, a silne, jak rozkaz wojskowy.

Ale Chrystus nie tylko uczył miłości nieprzyjaciół, ale Sam umarł za nieprzyjaciół, i to nie ze słowami zemsty i potępienia, ale powszechnego rozgrzeszenia: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią.“

Uczeni Grecy, gdy to usłyszeli od św. Pawła, zawołali z rozpaczliwym politowaniem: „Pawle, szalejesz!“

Ileż razy podobne powiedzenie słyszy ksiądz w konfesjonałe, gdy poleca penitentowi przebaczyć, przeprosić, przypominając mu słowa modlitwy: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...“

„Jak ksiądz może wymagać ode mnie czegoś podobnego? — to niemożliwe! — to ubliża mojej godności!... Co? ja mam zrezygnować z moich najświętszych praw honoru? Co za szalone wymaganie!“

Uspokójmy nerwy, sięgnijmy do zdrowego rozsądku, a przede wszystkim do faktów z życia, historii ludzkości, tej „nauczycielki życia“ a może — zmienimy zdanie.

Czegóż Chrystus dla nas pragnie? — czy upodlenia, czy przeciwnie największego uszlachetnienia, najpiękniejszego charakteru?

Czy przebaczenie, a już tem więcej kochanie nieprzyjaciół jest naprawdę gwałtem, zadany sprawiedliwości i obraza ludzkiego rozumu?

A czy nam było kiedy przykro, gdy nas obrażony pierwszy przeprosił?

Nieprzyjaciel — ileż to razy nasz największy dobrodziej?...

Chyba nigdy nie gniewamy się na lekarza, gdy boleśnie kraje nasze ciało, by nam raka wyciąć.

Rak, rozwijający się na charakterze czyli w naszej duszy, nie da się chirurgicznym, krwawym zabiegiem usunąć.

Nieprzyjaciel, wytykając nam błędy, dokonywa wspaniałej operacji, określając jasno naszą rzeczywistą wartość, wyciągając i stawiając przed oczy nasze to, co w nas szpetne, nieszlachetne — a przez to wprowadza do duszy głębokie refleksje, a nierzadko uzdrowienie i odrodzenie.

Gorzkie słowa prawdy, usłyszane od nieprzyjaciela, to zdjęcie bielma z oka, byśmy sami mogli zauważyć swój rzeczywisty wygląd wewnętrzny i zabrali się do poprawy charakteru.

Tak! wszyscy pragniemy nieba i to już tu na ziemi. A czy nie dałoby się z ziemi zrobić choć przedsionka nieba?

Bezwzględnie, że tak! Ale tylko wtedy, gdy ta cnota zagości powszechnie na ziemi, która niebo robi niebem, a tą jest tylko cnota Miłości.

Ale jeszcze jedno bardzo ważne pytanie: Czy Jezus zachowuje tę miłość, jaką zaleca, bo powiedział: „Przykład dałem wam, byście jak ja i wy czynili“?

Najcharakterystyczniejsze jest to, że nawet księgi chińskie przepowiadały przyjście Boga na ziemię, dla dania drogi do szczęścia — światu.

Przez trzydzieści lat pracował jako Robotnik, a potem trzy lata jako Nauczyciel trudził się, czynił cuda, głosił najśliczniejsze nauki tylko poto, by ludzi nauczyć miłości, choć wiedział, że Go za to zamordują.

Miłość kazała Mu przyjąć pocałunek zdrady od Judasza i miast przekląć go — nazwał go przyjacielem.

Ostatniem słowem, ostatnim testamentem Jego to było Słowo Przebaczenia i wielkiego rozgrzeszenia: „Ojciec odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią.“ Ostatnim darem dla nas grzesznych, a więc Jego wrogów, to Matka Najświętsza, byśmy mieli Ucieczkę grzeszników... Ostatnia kropla Krwi z Serca Jezusa, już po Jego śmierci wylana, to ostatni dowód tylko Miłości, to niejako kropka, postawiona na końcu Jego dzieła Miłości w Odkupieniu Świata.

Jezus nie zadawałał się samem głoszeniem Miłości, ale też stwierdził ją bezprzykładną Ofiarą z Życia za największych Jego wrogów, bo za grzeszników.

Ale jeszcze nie na tem koniec: Jezus założył osobną religję — Religję Miłości.

Duszą tej religji to Najświętszy Sakrament Ołtarza czyli Sakrament Miłości.

Komunja święta ma ten cel, by w nasze dusze razem z Boskiem Ciałem i Boską Krwią przeszczepić i przelać Boską Miłość, „byśmy byli jedno, jak Jezus jest jedno z Ojcem“.

Taki sam cel ma zaprowadzenie nabożeństwa do Najświętszego Serca Jezusowego, by to „Gorejące Ognisko Miłości“ roznieciło w świecie tylko miłość.

Nie dla czego innego, tylko dla dania największej Miłości bierze Jezus ludzi do nieba, bo tam będzie całkowite zaspokojenie dla serca naszego.

I jeszcze jedna uwaga: Cnotę Miłości podaje Jezus nie w formie rady ewangelicznej, ale w formie *przykazania*: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali.“

Zatem Miłość należy nam się prawnie. Ale nietylko wtedy mamy o tem prawie pamiętać, gdy o nas chodzi, lecz gdy chodzi i o innych; i nietylko gdy chodzi o przyjaciół, ale i o nieprzyjaciół naszych.

Jeśli więc dla Jezusa, jako Boga, przebaczenie a nawet kochanie nieprzyjaciół i świadczenie im nawet cudów nie jest ujmą dla Jego Boskiego Majestatu, to czyż dla nas ma być hańbą?

Nie ma prawa żegnać się znakiem krzyża świętego czyli znakiem najwyższej Miłości Jezusa Ukrzyżowanego ten, kto ma nienawiść w sercu.

Nie ma prawa wymawiać Imienia Jezus ten, kto chce poprawić Jezusa w prawie miłości bliźniego i nieprzyjaciół.

Tacy niech nie wazą się mówić w modlitwie: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy“, bo to będzie wyzywanie bluźniercze sprawiedliwości Bożej przeciw sobie.

Pogańskie dusze, choćby nawet ochrzczone, nigdy nie zrozumieją takiej Miłości, jaką Chrystus głosi Słowem i Przykładem, ale też ci ludzie na zawsze zostaną karłami i karykaturami co do charakteru.

Ta miłość Jezusa jest tak potężna, że momentalnie spaliła grzech pierworodny i inne grzechy, których wieczne piekło spalić nie mogło.

Tak się przedstawia to „nowe“ przykazanie miłości, jakie Jezus dał Apostołom w Wieczerniku dla Odrodzenia świata, dla nasycenia serca ludzkiego szczęściem już tu na ziemi.

W teorii taka miłość wydaje nam się niemożliwa do wykonania tu na ziemi, gdzie tylu nieprzyjaciół na każdym kroku, tyle ukrytej zdrady i podstępów...

Ale jakżeż chwyta nas za serca ta miłość, gdy ją widzimy w czynie u innych, którzy umieją bohatersko naśladować Boga i Jezusa Chrystusa. (Zobaczymy to w przykładzie na str. 175.)

Prawda, że Chrystjanizm wysoko podniósł cywilizację, ale to dopiero początki jego wspaniałego dzieła, którego ukoronowanie nadejdzie wtedy, gdy skończy się Chrystjanizm paszportowy, a zacznie życiowy, wprowadzający w czyn „Nowe przykazanie miłości bliźniego“.

Póki na świecie, począwszy od szkół powszechnych a skończywszy na uniwersytetach, nie zacznie się uczyć wszędzie i wszystkich, a więc tak samo i na Wydziałach Prawniczych, Praw Miłości, zamiast Praw karnych, póki czynna, altruistyczna Miłość nie będzie jedynym nakazem i prawem powszechnie obowiązującym, począwszy od rodziny aż do najwyższych urzędów państwowych — niema mowy o pacyfikacji świata — niema mowy o szczęściu na świecie.

Tylko w Chrystjnnizmie jest całkowite rozwiązanie wszystkich najcięższych problemów politycznych, — wszystkich kryzysów, jakie przytłaczają świat, nad którymi głowią się i męczą bezskutecznie rozmaite Trybunały Rozjemcze, Ligi Narodów, prywatne zjazdy szefów rządów.

Wszystko to zawodzi, bo wszystkie Trybunały, wszystkie Ligi uchwalają przeważnie tylko karne paragrafy... które przewidują tylko zbrodnie, a nie powszechną miłość...

Szkoda wszelkich trudów tam, gdzie chce się Boga poprawić.

Mądrzejszego Prawa nad Boskie Prawo Miłości bliźniego ludzie nie wymyślą.

Nie potrzeba też, jak to wielu chce, a choćby i nasza Konopnicka, by Chrystus drugi raz zstąpił na świat...

Dziś trzeba tylko wprowadzenia w czyn tego „Nowego Przykazania“, które Chrystus już dał światu.

Naturalnie nie odnowi świata tylko kilka jednostek, które stale i wytrwale czynem wykonywają „Nowe Przykazanie“... a inni będą tylko żerować na tej cnoście.

Dlatego przynajmniej każdy katolik i każda katoliczka, gdy poczuje nienawiść do swego nieprzyjaciela i będzie mieć ochotę przypomnieć mu Chrystusowe przykazanie miłości bliźniego... niech wprzód zapyta siebie, jak w swojej duszy i w swoim życiu zachowuje to samo przykazanie?

Czy my kochamy naszych nieprzyjaciół? — Czy wyświadczyliśmy jakieś dobrodziejstwo tym, którzy nas przesładują lub potwarzają?

Jeśli tak, możemy delikatnie braciom błędzącym zwrócić uwagę...

Jeśli inaczej, to przypomnijmy sobie powiedzenie Pana Jezusa: „Lekarzu, ulecz najpierw sam siebie...“ „Widzisz źdźbło w oku brata twego, a tramu w swem nie widzisz...“

Póki świata nie pokryją charaktery Chrystusowej miary, póty pokoju nie będzie i przyjdzie do tego, że każdy niemal dom trzeba będzie uzbrajać, otaczać zasiekami kolczastymi, całe majątki wydawać na budowę kryminalów i utrzymanie policji, wojsk... a ozdobą naszych twarzy będą maski gazowe.

Gdy prawdziwy Chrystjanizm ogarnie świat cały, wtenczas można będzie mówić o szczęściu i niebie na ziemi.

Bo czyż mogą być tam nieprzyjaciele, gdzie się wszyscy miłują?

Czy mogą być tam wojny, gdzie sobie ludzie nic do przebaczenia nie mają?

Jak nigdy nie przeżyje się głód serca ludzkiego wołający miłości, miłości... tak nigdy nie przeżyje się Chrystjanizm — jako jedyna Religja, która jedynie zdolna jest nasycić głód serca ludzkiego.

„Przykazanie nowe daję wam, abyście się społecznie miłowali.“

W spełnieniu tego „nowego przykazania“ jest całkowite szczęście ludzkości, ale wtedy, gdy wszyscy to przykazanie spełnią.

Ks. J. Cz.

„... I odpuść nam nasze winy...“

Na malej łączce, u skraju lasu, gdy pierwszy świt złości zaczął niebo wiosenne i świeże, zielone drzew wierzchołki, zebrała się nieliczna grupka ludzi przejętych czemś głęboko, poważnych i tajemniczych...

Za chwilę dwóch przeciwników zmierzyć się miało w strasznym, śmiertelnym pojedynku. Major stojącego w mieście pułku piechoty, hrabia de Trugnot, ciężko, a niewinnie dotknięty przez młodego attaché angielskiego poselstwa, sir Hartlanda, rzucił w odpowiedzi słowa, które, według fałszywych niestety pojęć honorowych, zmyć mogła tylko krew. I oto miało nastąpić spotkanie.

Tymczasem major, oddaliwszy się od swoich sekundantów, stanął na brzegu łąki i spojrzął w dolinę. Z rannych mgieł wychylało, się ku niemu stołeczne miasto, a tam... w oddali, w zieleni ogrodów, dojrzał swój dom, gdzie ukochana małżonka i syn — jedynak w głębokim jeszcze śnie spoczywali, spokojnie, cicho, nie przeczuwając strasznej katastrofy, która nad ich gniazdkiem zawisła...

Hrabia czuł w głębi duszy, że na dom swój spogląda po raz ostatni... I coś mu się w tej duszy rwać zaczęło i łamać... Całą siłą woli opanowywał wzruszenie, żal, trwogę na myśl, że za chwilę, za moment może to wszystko rzuci, a przed są-

dem Boga, którego tak ciężko obraża teraz, stanąć mu wypadnie. I sam nie wie, kiedy i jak myśl jego w górę ulatuje, w niebiosach... a na wargach zjawia się modlitwa stara, z lat dziecięcych tak znana... — Ojciec nasz, któryś jest w niebiosach, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. I odpuść nam nasze winy, jako...

— Hrabio — możemy zacząć, — przerwał głos tuż za nim. Major opanował się, błądy jeszcze, lecz pewnym krokiem ruszył na plac spotkania.

Sekundanci poczęli liczyć... Anglik Hartland zimno celował w samo serce. Padły strzały i hrabia śmiertelnie ranny runął na zieloną murawę. Oczy rozwarłe patrzyły w niebo, a myśl uparcie chciała dokończyć przerwanej przed chwilą „Ojciec nasz“... Wysiłki były daremne. Konający jęknął tylko — „miłosierdzia!“ — i skończył.

Przy trumnie męża.

Jak posąg bez czucia, bez ruchu, bez łez nawet, hrabina Trugnot klęczała u trumny męża przez dzień cały... w bólu niepojętym, strasliwym. Słońce już i zaszło i zmierzch zapadał, nieszczęśliwa wdowa ani drgnęła. Wtem rozległo się za nią dreptanie drobnych, dziecięcych nóżek i dwie małe rączki otoczyły jej szyję.

— Matuchno, mateczko — szeptał przez łzy kilkoletni chłopczyzna — jeszcześmy się nie modlili za tatusia...

Proste, serdeczne słowa dziecka zbudziły oniemiałą, nawpół martwą. Łzy rzuciły się jej z oczu potokiem nieustrzymanym, łkanie gwałtowne piersi chciało rozerwać.

Wstała, dziecko ujęła za rękę i okryła pocałunkami jego główkę i jasne jak len włosy.

— Henryczku, moje dziecko najdroższe, ukochane, nim pomodlimy się za tatusia, pójdź, powtórz za mną przyrzeczenie serdeczne, gorące, którego ojciec w liście pożegnalnym od ciebie żąda.

I rękę przestraszonego chłopczyzny wsuwa w zimną jak lód, prawicę męża i drżąc całą, szepce słowa uroczyste:

— Przysięgam Bogu, że będę szlachetnym jak był mój ojciec, i że za jego śmierć kiedyś odpokutuję, jak zdołam najlepiej...

Dziecię nie rozumie dobrze słów, które wymawia, i pyta matkę o znaczenie. Biedna kobieta, której głęboko wierząca duszę lęk straszny przejmuje o duszę męża ukochanego, dziś nie ma siły tłómaczyć tych słów chłopczyźnie. Prowadzi go więc do łóżeczka, a sama znów na kolana pada do modlitwy żarliwej, płomiennej o zmiłowanie nad zmarłym. Więc biedny

sierota, nie mogąc sobie zdać sprawy z tego wszystkiego, zaspiając, przez łzy powtarza i on prośbę za ojcem:

— Mój Jezu, miłosierdzia dla tatusia, miłosierdzia.

Niezapomniane, niezatarte na wieki przeżył wstrząśnienie. Słowa przysięgi wryły się mu w pamięć, w duszę, żywe zawsze i zawsze mówiące. Ukończył szkołę klasztorną z celującym postępem, ale jako — już zupełny sierota, bo i matkę ukochaną pogrzebał.

Pamiętny swych wielkich zobowiązań w dzień pożegnania ze szkołą, natchnieniem łaski powolny o przyjęcie do zakonnego nowicjatu poprosił. Wszystko, wszystko za ojca...

Po dwudziestu latach.

Minęło lat dwadzieścia.

W kancelarji angielskiego zarządu państwowego w Kampur, w Indjach, dziwne jednego dnia zapanowało podniecenie. Biegają posłańcy. Słychać gorączkowe rozmowy, telefon dzwoni niemal bez przerwy, wieści ogłaszając coraz gorsze. Oto wybuchło groźne powstanie okrutnych Sepajów pod wodzą Nana Sahiba.

Kampur już raz, przed kilku dniami było widownią walk ulicznych, a dziś nowe i to poważne niebezpieczeństwo zagroziło miastu i kolonji angielskiej.

Naczelnik zarządu prowincji, sir Hartland, przechodzi ciężkie chwile. Żonę i jedyne synka umieścił w bezpiecznym miejscu, ale dziwny lęk ścisną mu serce. Zapada wieczór i oto przychodzi dlań ta strasznie ciężka godzina wspomnień okropnych owego bezlitośnego pojedynku i śmierci zadanej majorowi Trugnot.

W ciszy wieczoru, w ciszy miasta, które zapadło w martwość grozy, w ciszy opustoszałego gmachu, słyszy wyraźnie straszny głos, który od lat już go męczy, wołając doń, gdzieś z głębi duszy:

— **Tyś morderca, tyś morderca!**

— Jego zabiłeś, osierociłeś żonę i dziecko. — Dziś nadchodzi dzień pomsty. — Kula powstańcza cię nie minie, — a żona twoja i synek zaznają jak tamci, — gorzkiego chleba sieroctwa...

I straszno się robi Hartlandowi. Włosy debem jeżą się mu na głowie, zimny pot rosi mu czoło. — Tyle razy chciał spotkać choć syna Trugnota i do stóp mu się rzucić i przebaczenia żebrać. Daremnie. O ks. Henryku ślad w Europie zaginął. Na misje gdzieś w świat daleki wyjechał.

Męczy się komendant i cierpi tak okropnie, iż wkońcu zrywa się i nie mogąc znieść męki wyrzutów sumienia, po-

stanawia klasztorzek misyjny w Kampur wyszukać i tam znaleźć odrobinę ulgi i ukojenia...

Nabity browning wsuwa do kieszeni, ciemny płaszcz na mundur zarzuca i rusza w drogę. — Po chwili w skromnej celi zakonnej, wśród zupełnego już mroku nocy siedzi obok zakonnika i opowiada z całą szczerością swe życie, ulgi szukając w wyznaniu i prosząc o radę.

Mówi o pojedynku morderczym, ale w ciemności nie widzi, jak, na imię majora, kapłan blednieje z przerażenia i konwulsyjnie chwyta za poręcz krzesła, szepcząc modlitwę o siłę i moc z nieba...

Tak, to ksiądz Henryk Trugnot rozmawia z zabójcą własnego ojca...

Późno w noc kończy się rozmowa, a gdy świt szary przeglądać zaczyna od wschodu, Hartland klęka w kaplicy klasztornej u stóp Henryka, by z ust nieznanego usłyszeć nadziemskie słowa: Ego te absolvo — **ja ciebie rozgrzeszam...** **Syn kończył w tej chwili niedokończoną ojca modlitwę przedśmiertną — jako i my odpuszczamy...**

Nie wzniosło się jeszcze słońce do południa, gdy gromady powstańców zalały miasto. Wszczyna się bitwa krwawa, mordercza... Wśród wojsk angielskich, osłaniających odwrót naczelnika rządu, zjawia się nagle na koniu kapłan — jego dzisiejszy spowiednik. Dodaje otuchy, rozgrzesza ginących...

Nagle granat zabija konia pod Hartlandem. Wśród ognia karabinów i jego śmierć nie minie.

W jednej chwili ksiądz oddaje mu wierzchowca, lekko rannego niemal gwałtem nań wsadza, wołając:

— Pędź! Ojczyzna, żona i syn cię potrzebują?! i w tejże chwili pada raniony odłamkiem pocisku.

Hartland ocalał. Dotarł szczęśliwie do swoich ukochanych. W kilka dni później rozerwał świeżą gazetę z wojennymi wieściami. W opisie walki w Kampur wyczytał słowa: Ks. Henryk Trugnot, misjonarz, poświęcając się, zginął jako kapłan wojskowy...

Jęknął sir Hartland i wpół przytomny padł na kolana, a modląc się gorąco i długo, długo, jak nigdy, płakał jak dziecko...

Takich bohaterów wychowuje Chrystus.

Tak wygląda „Nowe przykazanie Miłości“ według nauki Jezusa.

Z tego choćby pobieżnego rzutu, ujętego w niniejszy referat, widzimy, że Chrystjanizm, choć już głoszony od blisko XX. wieków, nie tylko się nie przeżył, ale w wielu duszach nawet się nie zaczął.

Bo jakież do dziś dnia istnieje straszne pojęcie o Bogu... którego się uważa nie za Ojca, ale za Istotę paniczny strach wzbudzającą... i to nawet u praktykujących katolików?...

Jakież pojęcie ma się jeszcze dzisiaj o prawdziwym bohaterstwie... o prawdziwej miłości bliźniego?

Prawda, że chrystjanizm wysoko podniósł cywilizację ale to dopiero początki jego wspaniałego dzieła, którego ukoronowanie nadejdzie wtedy, gdy się skończy chrystjanizm i katolicyzm paszportowy, a zacznie się życiowy, wprowadzający w czyn „Nowe przykazanie Miłości bliźniego“.

(Wyj. z egzort ks. Winkowskiego.)

„Chcemy widzieć Jezusa“.

Pewnego dnia po wjeździe triumfalnym do Jerozolimy Zbawiciel nauczał na dziedzińcu świątyni Salomona. Jak zwykle, tak i wówczas niezemiński poryw mocy Bożej bił z Jego słów, toteż liczne, z każdą chwilą liczniejsze rzesze cisnęły się ku Niemu. Nareszcie tak ogromne mnóstwo ludu otoczyło Go zewsząd, że wprost niepodobna było przecisnąć się do Niego.

Wówczas do jednego z apostołów, św. Filipa, zbliżyła się gromadka pielgrzymów, przybyłych aż z Grecji.

— Panie! — rzekli doń, wskazując na tłumy, jakie odgradzały ich od osoby Zbawiciela. — Chcemy widzieć Jezusa!

Prośba tak prosta, wzruszająca i szczerą, tak pełną cichej tęsknoty za Tym, o którym nasłuchali się tyle dziwów, a który w ciągu trzech lat urósł tak wysoko, że sława Jego sięgała aż do Grecji a Jego Imię już uzyskiwało obywatelstwo w całym znanym naówczas świecie.

— Chcemy widzieć Jezusa! — Nie z oddali, rzecz jasna, bo zdaleka Go widzą i słyszą dźwięk Jego głosu, jak przemawia do tłumów. Oni pragną poznać Go bliżej, chcą zetknąć się z Nim osobiście, ujrzeć Go twarzą w twarz.

— Chcemy widzieć Jezusa! — Jakże często w biegu wieków wrywała się z serc, drżała na ustach wszystkich ludów ta prośba cicha, tęsknota serdeczna! I dziś w naszych sercach ona nurt swój żłobi, szuka ujścia... Na ustach tysięcy się zjawia, szepce, błaga, żebrze i woła niekiedy z siłą gromu:

— Chcemy widzieć Jezusa!

Tak, chcemy Go widzieć! Chcemy patrzeć w Jego jasne, czyste, dobre oczy, chcemy podziwiać Jego wzniosłą, niebiańską postać, tak pełną ludzkiej słodyczy! Niech nas owionie tchnienie Jego Bóstwa, gdy pochylimy się do Jego stóp, by Sercu Jego powierzyć wszystkie niedole i troski, wszystkie łzy i radości nasze!... Dzień, w którymbyśmy ujrzeli naprawdę Jezusa

Chrystusa, byłby dniem niezapomnianym w życiu naszym... Wiedzielibyśmy, jak On przemawia, jak się modli, jak pracuje, jak się uśmiecha, jak się lituje, jak walczy i cierpi, stając się za nas ofiarą i dla nas przykładem. W Jego ręce z ufnością złożylibyśmy losy nasze. U Niego zaczerpnęlibyśmy tyle szczęścia, otuchy i mocy, że lekkim wydałoby się nam jarzmo pracy naszej i krzyż doświadczeń życiowych, pod którym sami bezsilnie upadamy...

— Chcemy widzieć Jezusa! A chcemy Go ujrzyć tem bardziej, że On dziś urósł, zaiste, ponad wszelką ludzką miarę, nawet ponad miarę dziejową. Już nietylko nad fale greckiego Międzymorza, lecz nad fale wszystkich mórz i oceanów sięga promienny nimb Jego postaci. Nad klębowisko biednych, niekiedy nikczemnych, zawsze ułomnych i ograniczonych ludzi, wznosi się On jeden wielki, On jeden święty, On jeden Pan. Moc od Niego promienieje, łaska i dobroć znaczy Jego ślady w dziejach dusz i ludów.

Chcemy Go widzieć, a ponieważ dzieli nas od Niego dwadzieścia wieków, szukamy przynajmniej Jego obrazu, Jego podobieństwa... Nie posiadamy jednak obrazów, któreby nam dawały pewność, że On naprawdę tak wyglądał przed wiekami. Zresztą, choćby się taki wizerunek znalazł pośród wykopalisk katakumbowych, byłby tem, czem zawsze był... martwym płótnem, lub kamieniem, przetworzonym ręką artysty — człowieka... A my chcemy widzieć Jezusa, żywego Jezusa, Tego, który jest Synem Bożym!

Jest wszakże jeden obraz Jego, palcem Bożym malowany, tworzony pod natchnieniem Ducha Świętego. W ramach czterech Ewangelij jawi się On, nasz Pan i Zbawiciel, oczom duszy naszej. Blaski i barwy, które złożyły się niegdyś na widomą sylwetkę Boga zjawionego wśród ludzi, Jego słowa i czyny, zostały zaklęte czarodziejską różdżką natchnionego pióra uczniów Pańskich. Wystarczy dotknąć tych znaków przedziwnych „dobrej nowiny“ modlitwą serdeczną, tęsknotą duszy, rozmyślaniami, opartem o fundament żywej wiary, a głoski te natychmiast ożyją. Łuska martwoty, właściwa wszystkim księgom ludzkim, opadnie z sylab i do duszy miłującej wpłynie treść ich żywa, jak przed wiekami, gdy Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami. W tych bowiem świętych głoskach, niemal jak pod osłoną postaci, przebywa żywy duch Chrystusowy.

A jeśli czyje oczy nie umieją rozeznąć tych ewangelicznych znaków i nie zdołają z nich wyczarować dla siebie wizerunku Ducha Chrystusowego, niechaj szukają Go w *Domach Rekolekcyjnych* — bo tam można odnaleźć swego Pana już nie w obrazie, lecz z całym jestestwem Jego żywym i prawdziwym, z Jego Duchem żywym, z Jego Ciałem i Krwią żywą, z Jego Bóstwem i Człowieczeństwem.

Zwłaszcza członkowie Misji Wewnętrznej powinni, i to koniecznie, odbić w swej duszy Obraz Jezusa, bo Wy macie cel apostołowania! A nikt nie zapali, kto nie ma ognia. Nikt nie porwie, gdy nie ma siły.

A więc tam *do Nowoczesnego Wieczernika, do Domu Rekolekcyjnego* śpieszmy i tam u stóp Jezusa na wzór Marji Magdaleny usiadźmy sobie, wpatrzeni w Jego Twarz, zasłuchani w Jego mądrość; bo już pogański mędrzec Arystoteles powiedział: „Bardziej uszczęśliwi jedna myśl wyższego rzędu, niż tysiące myśli przyziemnych.“

Boska myśl najmędrsza daje przedsmak nieba. Jeszcze nikt nie żałował tych trzech dni, jakie spędził u stóp Mistrza w Domu Rekolekcyjnym.

Pomóż i Ty tę liczbę uszczęśliwionych... ale nie odkładaj... zaraz się decyduj jechać na rekolekcje, bo gdy zaczniesz odkładać... to nigdy nie pojedziesz. Ks. x. x.

Mali święci.

Nie mam zamiaru pisać o „wielkich świętych“, których Bóg posyła raz poraz ludowi swemu, by jak gwiazdy „świecili pokoleniom na wieki wieczne“. Nie o nich myślę w tej chwili. Chodzi mi o sylwetki tych zwykłych „małych“ świętych, jacy dokoła nas otaczają, wolni od grzechów ciężkich, przyozdobieni szatą łaski Bożej.

Wielkich świętych zsyła Bóg na ziemię rzadko: raz na lat sto, raz na lat pięćdziesiąt. Ale zwykłych, małych świętych spotykamy codzien i może narzekamy na nich gorzko, bo rażą nas ich niedociągnięcia, ich wady... I z tego powodu przeoczamy ich cnoty...

Dwie sylwetki takich ludzi świętych, co wzrosli pośród gminu w ramach wielkiego miasta, wpraszają się mi pod pióro.

Jeden był woźnicą, który wywoził z miasta śmieci. Napewno nikt mu nie zazdrościł takiego stanowiska i takiej roli w społeczeństwie. Codzień rano, gdy wszyscy jeszcze spali, zjawiał się z furgonem na swej ulicy, wybierał śmieci ze skrzyń podwórzowych i wywoził za miasto. Ta „wzgardzona“ praca już sama przez się mogła być źródłem wielu cnót i zasług, ale nasz woźnica na niej nie kończył. Nie tylko usuwał brudy z domów bliźnich swoich, lecz usiłował w miarę możliwości jeszcze świadczyć im dobro, by potem ich dusze czyścić.

Sam był bardzo biednym, nie mógł szafować pieniędzmi, ale miłość jest pełna wynalazków. Wywiózłszy odpadki i śmieci, wybierał z nich niejedną drobiazg, jakich po śmietnikach wielkomiejskich nigdy nie brak. Dla bogatych — to rzeczy bez war-

tości, dla biedoty z brudnych zaułków — są to często skarby. Toteż gdy wracał do domu, obladowany niemi, wybiegały na jego spotkanie dzieci, kobiety tej ubożuchnej dzielnicy, gdzie mieszkał. Przyzwyczał je bowiem do tego z latami swą dobrocią i miłym uśmiechem, z jakim rozdawał swe królewskie dary. To jakiś sprzęt jeszcze przydatny gospodyniom w domu, to jakie świecidełko, kolorową, ognistą kulę szklaną — zachwyty oczu dziecięcych. Pełną miał torbę tych gratów, pełne kieszenie, i rozdawał je pomiędzy chętnych, wdzięcznych, rozradowanych odbiorców.

Dobroć jest jak woda, co prądem swym unosi, porywa tych, którzy do niej wejda. Tak i z nim było. Widząc, ile szczęścia i radości budzą jego dary, ile słońca wnoszą w te ciemne nory domostw i serc ludzkich, dał się porwać prądowi serca. Ze swych szczupłych, głodowych dochodów umiał wspierać uboższych od siebie. A gdy nie mógł nic pomóc czynem, darzył potrzebującego dobrem, miłem słowem. W niedługim czasie pozyskał pełne zaufanie swego otoczenia. Zaufanie i szacunek. Doszło do tego, że nikt w jego obecności nie odważył się odezwać po grubjańsku. Milkły przekleństwa, kiedy on nadchodził. Jego dobroć i miłość przemieniała ludzi, sponiewieranych, znieprawionych ludzi wielkowiejskiego zaułka. Wzbogacała ich miłość jego serca więcej, niż liche dary jego ręki. Pośród swego otoczenia wżgardzony woźnica stał się prawdziwym apostołem. A gdy po latach pracy pewnego dnia przyniotła go ciężka skrzynia i miażdżąc płuca zaprowadziła go do grobu, stała się rzecz niesłychana. Cała ulica przywdziała żalobę, w każdym domu rozlegał się płacz nieutulony. W mowie nad trumną powiedział o nim kierownik szkoły, że „szedł w życiu drogą wzniesłego powołania“. Była to, ukazana przez Chrystusa, droga „ludzi świętych“.

Obok tej godnie stanąć może sylwetka służącej dozorcycmentarza. Starsza już kobieta, lubiąca różne gadki wygadywki. Porzuciła swoich, bo „schowała do kuferuszka pieniądze i wykradli jej swoi... Tak i przyszła na służbę do tych ludzieńków i teraz jej lepiej, bo to się przeżegnają, jak Pan Jezus przykazał, rano i wieczorkiem, a synka mają pięcioletniaczka, który śpiewa jak kanarek, mnie na pociechę, aż i ślozy idą“...

Omiatała groby z liści, podlewała kwiaty. Szczupła, nikła, o cerze ziemistej, wyblakłych, szarych żrenicach i wieku nieokreślonym. Zawsze nosiła popielatą sukienkę i starą chustkę w kraty. Spotkać ją można było albo przy modlitwie, albo przy pracy. Dreptała po alei cmentarnej, dźwigając w chudej ręce dużą konew wody, a w drugiej miotelkę do omiotania mogił. Po pracy uśmiechnięta, z różańcem w suchych palcach, przechadzała się między groby, przedziwnie cicha i miła.

Była niesłychanie sumienna w spełnianiu swych obowiązków. Na grobie przez nią umieszczonym nie ostał się żaden listek,

ani warstewka kurzu w splotach ogrodzenia. Ze wszystkich grobowców murowanych zestawiała do podlewania kwiaty. „Malmury i kamienie — mówiła — psujom się od wody cięgiem polewanej. Kiedy descyk je mocy, to juści trudno, ale cłowiek psuć nic nie powinien, bo to grzych.“

W upalne dni letnie uwijała się śród grobów zziajana, spocona, bez chwili spoczynku. Gdy jej przypomniano czas posiłku, mówiła: „Kiej nie zdązę napoić tych bozych trawek, taki goronc, to syćko umiera. O, jako główki pozwieszało. Nie mogę tera iść, pońdę na podwiecyrz, to se pojem za cały dzionek...“

Umiała się wczuwać w dziwy przyrody. Dla niej słonko się śmiało, a każdy kwiat był „na jakási tajemnicę chwały boskiej stworzony, bo przecie bez nicego takby ich dobry Bóg prześlicznie nie ubrał. Wsyćko ku chwale boskiej, tylko ze my nie wimy, co i jak jest. Cerwone kwiatki to chwałą każdą kropelkę Krwi Pana Jezusowej, a niebieskie to Najśw. Panienkę, ale syćkie one i kwiatki i trawki, to musom mieć duze znaczenie. W niebie to syćko bedziemy wiedzieć, co i jak. Ci, co tu leżą w grobach, to juz wiedzą, chociaz jesce nie wsyscy. Biedacki, duzo ich jesce tęskni do jasności niebieskiej z P. Jezusem kochanym...“

Zawsze promieniowała od niej prostota i jasność dzieci bozych. Nie wiedząc o tem, przemieniała każdą swą czynność w modlitwę i szła do Boga drogą „ludzi świętych“. Ks. x. x.

U źródeł Sodalicji (Kongregacji).

Kongregacja czyli sodalicja marjańska zrodziła się pod wpływem tego potężnego religijnego odrodzenia, jakie w połowie XVI wieku przeciwstawiło się reformacji i złowrogim jej owocom. Zawiązek dzieła, jak zwykle bywa w sprawach Bożych, był nieznaczny, ale w maleńkiem ziarnku tkwiła wielka siła żywotna i zapowiedź bujnego rozwoju.

Młody kleryk Belgijczyk, rodem z Liège, nazwiskiem Jan Leunis, urodzony około r. 1536, a przyjęty do zakonu jeszcze przez samego św. Ignacego Loyolę w r. 1556, na stanowisku nauczyciela w Perugji, Montepulciano i Paryżu dał dowody wielkiego zamiłowania i talentu do wychowawczej pracy, zwłaszcza około najmłodszych. Gdy powierzono mu to zajęcie w sławnej wówczas na cały świat rzymskiej uczelni, postanowił wszelkich sił dołożyć, by w sercach poruczonej sobie młodzieży nietylko rozwijać wiedzę i wyrabiać charakter, ale przede wszystkim zaszczepić gruntowną cnotę chrześcijańską.

Sposób dopięcia tego celu wskazała mu myśl szczęśliwa, której źródłem po łasce Bożej, było jego własne ciepłe a czyste serce. Jak sam miłował całą duszą Matkę Najświętszą i jej opiece przypisywał wszystkie łaski, które dostały mu się w udziale, tak postanowił miłość Marji wyzyskać dla młodzieńskich swych uczniów jako skuteczną pobudkę i najpotężniejszy środek duchowego wyrobienia.

Pod wpływem tej myśli zaczął powoli w klasie sobie powierzonej najlepszych i najpobożniejszych chłopców otaczać szczególną opieką. Gromadził ich raz w tydzień w jednej ze sal naukowych i miewał do nich gorące przemowy o miłości Matki Najświętszej, potem pouczał jak można przypodobać się Marji i zasłużyć na szczególną Jej opiekę przez dobre uczynki i praktykę chrześcijańskiej cnoty. Improvizowane te nabożeństwa kończyły się wspólną modlitwą przed obrazem Matki Bożej i odśpiewaniem na jej cześć jakiejś pieśni pobożnej.

W roku szkolnym 1563, kiedy młody nauczyciel, otrzymawszy już święcenia kapłańskie, mógł w duchownem kierownictwie swej gromadki rozwinąć większą niż dotąd powagę, zrobił krok decydujący, który rozstrzygnął o powstaniu wielkiego Bożego dzieła. Widząc mianowicie, że praktykowane poprzednio szczególne nabożeństwo do Marji przynosi młodym sercom nieobliczalne duchowe pożytki, zamiast luźnych zebrań, zawiązał za zgodą przełożonych formalne stowarzyszenie religijne, którego celem było przez miłość Panny Najświętszej i wierną jej służbę dążyć do zdobycia wybitnej cnoty chrześcijańskiej.

Stowarzyszeniem tem była sodalicja i od tej chwili datuje się jej rozwój tak wspaniały, że podobny jest do triumfalnego pochodu przez wieki.

A znać, że całe to urządzenie dzieła pomyślane było praktycznie i głęboko, bo chociaż w niecały rok po zawiązaniu stowarzyszenia świątobliwy jego twórca Rzym opuścił i ukochaną swą gromadkę innemu kierownictwu pozostawił, ciężką tę próbę sodalicja nietylko dobrze przetrwała, ale nie zatrzymała się ani na chwilę na drodze szybkiego rozrostu. W pięć lat po swem powstaniu liczyła ona już tylu członków, że wypadło podzielić ją na dwa odłamy; gdy minęło nowych lat dziesięć, istniały już w kolegium rzymskiem cztery kongregacje, ugrupowane wedle wieku członków i odrębności klas szkolnych. Wszystkie one miały za wspólny tytuł Zwiastowanie Najsw. Panny i wszystkie nosiły chlubną nazwę *congregatio* czyli *sodalitas primaria B. Virginis Mariae*.

Przykład Wiecznego Miasta i widok wspaniałych owoców, jakie sodalicja rzymska przynosiła w sercach tamtejszej młodzieży, nie mógł nie oddziaływać na inne kolegia jezuickie, które z ogromną szybkością mnożyły się po dalszych krajach północnej Europy. Nie minęło lat piętnaście od zawiązania pierw-

szej kongregacji, a już słyszymy o całym mnóstwie podobnych gniazd marjańskich w całej Europie.

Kiedy Jan Leunis po cichem i nieznanem świecie życia, już w roku 1584 kładł się do grobu w Turynie, mógł spokojnie patrzeć w przyszłość umiłowanego stowarzyszenia, bo ujęły je ręce silniejsze od jego własnych dłoni, t. j. ręce zakonu i Kościoła. Zakon Towarzystwa Jezusowego zaczął w tym czasie uważać kongregację marjańską za swoje własne dzieło i dzieło tak ważne, że nie wahał się poświęcić mu najteńszych swych pracowników.

Kościół zaś w osobie Namiestników Chrystusowych rozpoczął ten długi szereg uroczystych aktów, przez które spadały na kongregację nieprzeliczone łaski i błogosławieństwa.

Gdy ze szkół zakonnych wyszły dziesiątki tysięcy młodzieży ugruntowanej w cnocie a pełnej apostołskiego ognia; gdy obok niej stanęły inne, nieprzeliczone zastępy mężów, którzy w dojrzałym już wieku poszli pod sztandar marjański, postępom herezji i bezbożności przeciwstawił się żywy a potężny wał, który uratował dla wiary całe miasta i kraje.

Wśród szerokiego spogania serc rozmnożyły się dusze szczerze pobożne, umiejące żyć nadprzyrodzonym życiem i obficie czerpać z jego źródeł.

Widzimy sodalisów na tronach papieskim i cesarskim widzimy wśród nich całe szeregi królów i książąt, hetmanów wojsk i rządców prowincyj, biskupów i możnych panów, wielkich uczonych i głośnych artystów, a nadewszystko licznych Świętych. Zakładają się sodalicje kleru i szlachty, wojskowych i mieszczan, studentów i rękodzielników, aż do najniższych stanów sług, marynarzy, rybaków i uczniów rzemieślniczych. A w wszystkich tych sodalicjach kwitną takie cnoty, że doprawdy przypominają się nieraz czasy pierwszego chrześcijaństwa. Gorąca miłość Najśw. Panny, głęboka pobożność, budująca czystość życia, umartwienie posunięte nieraz do heroizmu, czynna miłość bliźniego objawiająca się nietylko w hojnym miłosierdziu, ale w chętnem przebaczeniu krzywd i uraz — oto cudowne kwiaty nie z tego świata, które wonią swą napełniają ówczesne sodalicyjne roczniki i splatają się dla kongregacji na wieniec nieśmiertelnej chwały. A jeśli do tego dodamy przedziwną, gdzie niegdzie aż do męczeństwa posuniętą stałość we wierze i gorliwość propagandy katolickiej, pojmiemy łatwo, że św. Franciszek Salezy, sam niegdyś prefekt sodalicji szkolnej w Paryżu, zalecał gorąco marjańską organizację jako najlepszą szkołę doskonałości chrześcijańskiej, a św. Alfons Liguori stosował do niej później to słowo Pisma świętego, że stoi na murach Kościoła jak owa obronna „wieża Dawidowa, z której tysiąc puklerzy polyska“.

Tak było wszędzie, tak było i w naszej Polsce, gdzie sodalicje już z końcem XVI wieku wprowadzone tak silnie nie-

bawem zapuściły korzenie, że tytułem sodalisów Marji chlubiły się u nas całe ogromne zastępy nietylko szkolnej młodzi, ale mieszczan, szlachty, dygnitarzy koronnych, a nawet kilku królów. Jak zagranicą, tak i u nas był ten tytuł sodalisa jakby dyplomem szlachectwa duchowego, które pociągało za sobą niemałe obowiązki moralne; jak zagranicą, tak i u nas liczne gniazda marjańskie istniejące przy domach i kościołach zakonu były twierdzami dobra, stojącymi na straży czystości wiary i chrześcijańskiego obyczaju.

(Wyj. z „Przewodnika Sodalicyj Marjańskich“.)

Roczne pokłosie Misji Wewnętrznej.

Po zasiewie zbieramy plon! Zależny on jest i od ziarna i od roli. Dobry plon wnosi radość do duszy i zachętę do dalszej pracy wytrwałej.

Przed blisko dwoma laty padło ziarno Misji Wewnętrznej na rozmodlone tłumy u stóp Matki Bożej w Piekarach. Siewcą był twórca idei Misji Wewnętrznej, nasz Arcypasterz. Zasiał on ziarno zdrowe, piękne, zdolne zrodzić pokarm dla dusz wyniszczonych ciężarem życia czy też nieodpowiedniemi postępowaniem i napełnić je pełnią życia Bożego — postawić w obliczu szczęścia, którego nikt wydrzeć nie zdoła.

Podłoże wdzięczne — bo oto Ksiądz Biskup przemawiał wówczas do tysięcznych rzesz katolików wybranych, wiernych zawsze Chrystusowi, zorganizowanych w przeważnej części w Stowarzyszeniach kościelnych a więc: bractwach, arcybractwach, kongregacjach i sodalicjach. I tych właśnie powołał do Misji Wewnętrznej, im wręczył broń najskuteczniejszą, by szli śmiało i odważnie na podbój dusz zbłąkanych; tą bronią to modlitwa i ofiara.

Wiemy dobrze, że żołnierz chociażby był najdzielniejszy, puszczony samopas nic nie zdziała — wartość jego doświadczymy dopiero w grupie pod stałym kierownictwem pewnych osób — przewódców.

Dowództwo nad sprawami Misji Wewnętrznej objął jej twórca i założyciel, On też jako troskliwy ojciec baczenie czuwa nad zastępami wiernych, by byli dzielnymi szermierzami jego myśli i szli zgodnie z pomocą w odbudowie życia wewnętrznego wśród diecezjan.

W tym też celu został założony Sekretarjat Misji Wewnętrznej — dla spraw formalnych i szerzenia idei Misji Wewnętrznej. Od czasu ogłoszenia Misji Wewnętrznej Sekretarjat wydał trzy numery Biblioteczki Misji Wewnętrznej, z których ostatni ukazał się pod tytułem: „Apostolstwo w Misji Wewnętrznej“. W roku bieżącym zostały zapoczątkowane kursy.

Misji Wewnętrznej dla członków Zarządów stowarzyszeń kościelnych. Dotychczas odbyły się podobne kursy w 9 okręgach diecezji śląskiej i objęły około 70 parafij. O kursach tych pisaaliśmy już w numerze marcowym „Głosu” — były one naprawdę wyższemi uczelniami życia apostołskiego, doskonalszego!

W maju obchodziliśmy rocznicę założenia pisma, miesięcznika „Głosu Misji Wewnętrznej” — przez który nasz Arcypasterz i inni propagatorzy Misji Wewnętrznej niosą wieści o apostołstwie wśród naszych pogan, białych. „Głos Misji Wewnętrznej” wyszedł w świat w dość szczupłym nakładzie, potęga jego wewnętrznej wartości zdołała wkrótce pozyskać zwolenników i przyjaciół na Śląsku, w całej Polsce i za granicą. To też nakład jego mimo kryzysu gospodarczego urósł i stale się powiększa. Obecnie łącznie z rokiem jubileuszowym zmienił swą szatę zewnętrzną, bo na przedniej stronie okładki zamiast Chrystusa widzimy krzyż — godło zwycięstwa!

Apostołowie Misji Wewnętrznej przez modlitwę i ofiarę codziennych swych przykrości i zmartwień dążą do urzeczywistnienia celów Misji Wewnętrznej: nawracania niewierzących i zbłąkanych we wierze katolików. Dla nich została wydana osobna modlitwa Misji Wewnętrznej, która w kilkuset tysiącach rozeszła się po całym Śląsku.

Modlitwę tę odmawiają wierni publicznie głośno w kościołach podczas nabożeństw uroczystych, na zebraniach stowarzyszeń w intencji, którą ks. Biskup wyznacza, i prywatnie za pewną duszę przez siebie obraną. Modlitwa Misji Wewn. znalazła wśród katolików wielkie uznanie i zaufanie, odmawiają ją w różnych okolicznościach: o powrót męża do życia uczciwego, rodzice o nawrócenie swych dzieci, rodzeństwo o nawrócenie ojca lub matki, o zdrowie i wytrwałość w cierpieniach, o powrót do Kościoła osób błakających się po różnych sektach, o podniesienie poziomu moralnego w parafji i t. d. Tak szerokiemi jest pole działania w Misji Wewnętrznej, że nikomu nie zbraknie intencji ofiarowania swych modlitw i cierpień.

Osoby stojące na straży rozwoju Misji Wewnętrznej dostrzegają, z jak wielką szybkością idee jej przenikają coraz to szersze warstwy katolików zorganizowanych w stowarzyszeniach kościelnych a modły ich jak bujne kłęby dymu wonnego kadzidła w blasku płonących świec płyną pod niebiosa dla uproszenia łask duszom zbłąkanym.

Bo oto prócz modlitwy Misji Wewnętrznej wielu w intencji Misji Wewnętrznej ofiaruje Msze i Komunje św. Nadmienić też trzeba, że różne bractwa i związki zamawiają liczne Msze św. na intencję Misji Wewnętrznej.

Pracę apostołską Misji Wewnętrznej nie da się zbilansować, bowiem ile to trudów i cierpień dotkliwych ponoszą dusze ofiarne, które tylko Bogu są wiadome.

„Po owocach poznacie ich...“ Po skutkach widzimy, jaką to wartość przedstawiają w sobie środki Misji Wewnętrznej: modlitwa i ofiara ukryte przed ludźmi a w głębokiej wierze zanoszone do Boga.

Rok czasu czynnej apostołskiej pracy w Misji Wewnętrznej. A jesteśmy świadkami niejednych jasnych nawróceń, nawet przewodców grup wrogich Kościołowi, osłabień działalności sekt, lub ich zniszczenia, licznych pojednań katolików z Chrystusem przez odprawienie spowiedzi wielkanocnej, skojarzenia małżeństw poważnionych lub doprowadzenia ich do zawarcia ślubu według prawa kościelnego, wyszukiwania w rodzinach dzieci nieochrzczonych i wpłynięcia, by zostały ochrzczone i t. p. Wielu trwa jeszcze uparcie przy swych błędnych postanowieniach — chociaż i ci, jak się jeden z nich wyraził, odczuwają na sobie tajemniczy wpływ modlitwy Misji Wewnętrznej. Za tych wszystkich mamy się jeszcze modlić, by ostatecznie działanie łaski Bożej rozbroiło upór trwania w złem, zdjęło więzy wszelkich obaw, by pojednali się z Kościołem.

Z powyższego zestawienia poczyniań w rozpowszechnieniu Misji Wewnętrznej widzimy, że za ten jeden rok ziarno nie tylko wyrosło na roślinę, lecz też owoce przyniosło. Są one już liczne — a będzie ich coraz więcej. Od kogo to zależy? — Od Was, Członkowie Misji Wewnętrznej!

R. L.

Kaplica w lesie.

...Osłaniał ją cień lasu, chłodem pieściły drzewa, chór ptaszek nucił jej miłośnie, gdy zapomniana przez wszystkich trwała w żałości. Osiadła na wzniesieniu, gdzie już rzadsze były drzewa, ale za to wysokie, smukłe, o dumnych, rozłożystych konarach miały nad nią pieczę, jak matka nad swem dziecięciem; muskały delikatnie zwisającemi gałązkami białe, wapienne mury, otaczały złocistym wieńcem liści czerwony jej dach, ciekawie zerkwały do wnętrza, gdzie panowała cisza przesłodka i powaga była ze ścian cudnie malowanych a z ołtarza małego szedł majestat...

Od drogi, wdzierającej się w głąb lasu, stał zwarty mur chojarów, podszyty wrzosem i jałowcem. Wiała stąd soczysta woń żywicy, przewijała się błękitna nić pajęczka, unosił się poszum cichy, poważny, jakoby ze świątyni, w której przed chwilą zakończono nabożeństwo dziękczynne, a w nawie głównej pełzają jeszcze szmaty dymów kadzielnych a sam ołtarz ofiarny zasłany jakoby mgłą nieprzeniknioną, którą promienie słońca dopiero rozpraszać musza...

Panowała tu uroczysta powaga i ciepło, roztaczała się szczęśliwość — taki to miły był zakątek wokoło kapliczki leśnej..

W południe, gdy słońce stało najwyżej i prażyło gorącą lawą, zlewając strumienisty potok promieni, które przedzierały się przez zasłonę szeleszczących listków do kapliczki przez okienko małe, wtedy jej wnętrze ożywiało się jak serce, gdy jest wzruszone wielką radością. Struga promienna słała się na ławy, blaskiem owijała krzyż Chrystusa, złościła w bolesti zastygłą twarz, oplotła wieniec cierniowy, zjeżony kolcami, wbitemi w marmurowe czoło, z którego saczyły się długie, krwawe krople...

A gdy promienie przelały się skośnym rzutem przez okienko i dosięgły ołtarza, wtedy jaśniało w kapliczce jeszcze bardziej, zdawało się, że samo słońce tu na tronie rozsiadło i stąd swój balsk oślepiły śle na świat, grzeje miłośnię kwiaty, wlewa wszędy żar radości życia. Srebrzyły się lichtarze, w których sterczały świece żółtawe, rozpraszały się cienie, wesołość ogarniała wnętrze, a same twarzyczki aniołków patrzyły weselej z obrazu w głównym ołtarzu, gdzie królowała Matka Boska z Dzieciątkiem...

Bór gwarzył cichutko; opowiadania smuły się z lekkim tchnieniem wiatru, który łasił się pokornie, muskał z lekka a pieśczośliwie wierzchołki drzew — drzewa opowiadały sobie o bólach, o radościach, jakoby ludzie, a kto by ciekawy przyłożył ucho do kory chropowatej, mógłby się dopiero nasłyszec bicia serca, które tak tłukło się wewnątrz, żywe, jakoby ludzkie...

Opodal kapliczki wznosiło się pagórkciem pierzastym mrowisko z rojem czarnych robotników, zapamiętałe goniących pomiędzy trawami. Wrzała tam praca ognistem tempem, kółowało jak w garnku bezustannie...

Całe popołudnie tylko śpiew ptaszat tu słyhać było — a pozatem nikt z lesnych mieszkanców nie ważył się mącić ciszy...

A gdy słońce kładło się niżej i koliskiem przebijało się przez gęstwiny — zmęczone podrozą, sennym wzrokiem świat obejmując, wtedy las ożywiał się przed wieczorną modlitwą, a hasło dał dzwon na małej wieżyczce...

Najpierw uderzył raz, nieśmiało, potem drugi, jeszcze pełen obaw, że ośmiela się niepokoić las, przepojony słodyczą wieczoru. Brzmiały pojedyncze tony lekliwie, uderzały leciutko w pnie sosen, chowały się pod chłodne skrzydła cieni i tam przez chwilę szukały schronienia... Lecz gdy chór ptaszat uderzył w radosny śpiew, witając echo srebrzystej melodji — dzwon poczynał bić donośnie sercem o metalowe boki i napelniał las weselem. W kornym ukłonie schylały drzewa wierzchołki i poszumem swych konarów słały modlitwy...

Stary, zgrzybiały dziad kościelny, wsparty na sękatym kiju, zamyknął drzwi, klucz przekreślił w zamku i poszedł dróżką, która wiodła do wsi...

Stała kapliczka w lesie otulona wieńcem drzew, zasłuchana w trele słowika — stała samotna, w sercu nosząc obraz Matki Bożej i Jej Dzieciątka — a noc płaszczem swym miłostnie ją zasłaniać poczyniała, jakoby (dziecię swe najjułko-chańsze...

Alfons Piotrowski.

Chorzy! Możecie być... apostołami!

Jakże możemy nimi być? — odpowiecie. Czyż nie widzisz, że niemal przykuci jesteśmy do łoża boleści, ruszyć się z miejsca nie możemy, skazani na pomoc litościwych serc i dobrych rąk niemal przy każdej próbie poruszenia się? Jakże więc mamy za apostołami iść w świat szeroki i ratować dusze? Prawda, z radością, z jaką radością poszlibyśmy, gdybyśmy tylko mogli pozbyć się tych cierpień, opuścić miejsce boleści! Z całą ochotą pracowalibyśmy nad pozyskaniem dusz dla Chrystusa!

Śpieszę was zapewnić, Drodzy Chorzy, że przez to wezwanie do apostołstwa nie chciałem was wprowadzić w rozterkę duchową, obudzić nowe, nieziszczalne pragnienia. Moje wezwanie i wasze pragnienia mogą się spełnić i spełniają się przez przynależność do Apostołstwa Chorych. Możecie naprawdę, w rzeczywistości być apostołami, pracować dla królestwa Chrystusowego. I to nie dopiero wtedy, gdy wróci zdrowie, gdy będziecie mogli wyjść o własnych siłach z domu.

Zastanówmy się, co to właściwie znaczy: być apostołem. Znaczy to: ratować dusze, uświęcać dusze z Jezusem i przez Jego odkupienie i łaskę. Jak Jezus ratował, uświęcał dusze? Oto oddał się cały za nie i poświęcił i ofiarował wśród strasznych cierpień. Oddanie się, poświęcenie, ofiara, cierpienie, cierń, rany, krew spływająca, łzy i krwawy pot, męka konania — oto Jezusowa praca dla dusz, szczyt i wzór i źródło wszelkiego apostołstwa.

Czy to dzieło odkupienia skończone? W zasadzie tak, ale jednak niezupełnie. Z miłości do Ojca w niebiesiech i dla dusz Jezus chce dalej cierpieć, dalej prowadzić dzieło odkupienia w swoim mistycznym ciele, którem jest Kościół i jego członkowie, a zwłaszcza chorzy.

Więc Chrystus w szczególniejszy sposób cierpi w was chorych. Sam o tem mówi. Gdy ktoś was odwiedzi, powie Chrystus do niego: „Byłem chory, a nawiedziłeś Mnie!“ (Mat. 25, 36). Przyjaciele wasi, odwiedzając was, odwiedzają Chrystusa, który w was cierpi. Czyni to zaś Jezus z taką gotowością, że każde wasze, nawet największe cierpienie wtedy już cierpiał i odczuwał, gdy na krzyżu za cały świat się ofiarował.

A jak Chrystus w apostołach i w męczennikach chrześcijańskich cierpienie swe i dzieło odkupienia dopełniał, tak że mogli mówić: „Z Chrystusem jestem przybity do krzyża“, tak i wy możecie w sobie dalej prowadzić Jego cierpienie i za męczennikami i apostołami mówić także: „Z Chrystusem jestem przybity do krzyża“.

Radujcie się więc, bo oto pod pewnym względem stać się macie wraz z Jezusem jakby współodkupicielami, zbawcami dusz! Król boleści zlał niegdyś z krzyża skarby łask na dusze. Wy, Jego uprzywilejowani słudzy, przez krzyż, choroby, cierpienia macie także łaski dla ludzi sprowadzać. Jako Hostja-ofiara Baranek Boży ubłagał miłosierdzie Ojca dla grzesznego świata. Wy jako hostje, ofiary żywe cierpienia, niedoli, macie także błagać miłosierdzia i łaski dla wszystkich! Wśród niewysłowionych cierpień Chrystus otworzył niebo dla grzeszników. Przez apostołstwo waszego cierpienia macie zyskiwać mieszkańców dla nieba!

Rozumiecie, że to wszystko zależy od miary waszych cierpień, od stopnia cierpliwości i miłości. Im więcej i ochotniej ktoś cierpi, tem więcej zdziała przez niego Chrystus. Im cierpliwiej ktoś znosi cierpienia, tem więcej cierpi w nim Chrystus. Kto jest niecierpliwy, ten cierpi dla siebie samego, bez Chrystusa, bez zasługi. Z im większą kto miłością dla Boga i dusz cierpi, tem więcej zdziała jako apostoł!

Macie więc stać się apostołami! Wielki to zaszczyt i niezwykła godność. Jak niegdyś Bóg Syna Swego zesłał na ziemię, by ludzi odkupił i do nieba wprowadził, tak i was posyła, byście u boku Syna współpracowali w tem wielkiem dziele. Czyż nie jest to wielkie wyróżnienie, odznaczenie dla was, którzy często uważacie się za nieużytecznych, niepotrzebnych, odrzuconych?!

Jak wielki to dla was zaszczyt, że możecie u boku kapłanów, w zjednoczeniu z nimi pracować dla zbawienia dusz, w tem dziele „najbardziej Boskiem ze wszystkich dzieł“. Rozważcie to dobrze w umyśle swoim, co wy jako chorzy i jako apostołowie możecie zdziałać.

Patrzcie na tych biedaków, którzy żyją w grzechu śmiertelnym, zdala od Boga. Patrzcie na tych zobojętniałych we wierze i religji, na ten tłum dzisiejszych katolików — „ochrzczonych pogan“; na tych wątpiących, zbłąkanych, kuszonych, którzy nie mogą dotrzeć do Boga; za nich wszystkich ofiarować macie swe cierpienia, by się nawrócili i znaleźli ukojenie i pokój Chrystusowy.

Pomyślcie o tych licznych upadłych moralnie, o tych wykolejeńcach życiowych, społecznych rozbitkach; o nieszczęśliwych, zubożałych i ofiarach wojny i nędzy dzisiejszej; o tych, którzy stłoczeni w małych mieszkaniach lub koszarowych najemnych barakach wciąż narażeni są na tysiączne okazje do grzechu; o tych bezdomnych, którzy tułają się po drogach wsi

i ulicach miast, mieszkają w przytułkach, domach poprawy i więzieniach; pomyślcie o tych matkach, oplakujących swe wyrodne lub nieszczęśliwe dzieci, zgorszone, uwiedzione, porwane falą występku i zbrodni; o tych trapiionych pokusą samobójstwa. Wy możecie całą tę bezmierną i niewysłowioną nędzę zmniejszyć, możecie ulżyć cierpiącym pod jej okropnem brzemieniem, wy właśnie, gdy weźniecie krzyż cierpień na się i wraz z Chrystusem go ofiarujecie za wszystkich.

Jedną z trosk Kościoła jest dzisiaj wielki brak kapłanów. Wy chorzy odczuwacie to więcej niż zdrowi, którzy mogą sami pójść do kościoła, do kapłana. Brak kapłanów i przeładowanie pracą tych, którzy są, sprawia, że nie mogą tak często was odwiedzać, P. Jezusa przynosić, jakbyście tego i wy sami i kapłani pragnęli. Ofiarujcie więc wasze cierpienia wspólnie z Jezusem-Kapłanem, by Duch Święty wzbudził liczne i dobre powołania kapłańskie. Módlcie się także, by Bóg wezwał wielkodusznych, świętych mężów, pełne miłości, pokory i poświęcenia niewiasty, by zwiększyły się szeregi zakonów i organizacyj katolickich. Pomyślcie o potrzebach duchowych i biedzie tych katolików, którzy mieszkają zdala od kościołów, w parafjach nieobsadzonych, na obczyźnie, wśród innowierców, gdzie w poszukiwaniu chleba i pracy tracą często wiarę i narodowość.

Wraz z Marią Królową Polski, Królową Świętych polskich ofiarujcie swe cierpienia za Ojczyznę naszą, Polskę. Przez cierpienia i katusze rozbiorów, przez krew i śmierć poległych na polach walk w obronie wiary i narodu, przez ból i cierpienie rannych, ofiar wojny, inwalidów — wskrzeszona do nowego życia Polska i dzisiaj liczy na udział cierpiących w budowie lepszej przyszłości. Bóg i Ojczyzna — to także nasze, apostołskie hasło. Marja, Królowa nasza, zbierze te łzy i cierpienia wasze i przed tronem Boga ofiaruje za całej Ojczyzny naszej, a więc i za waszą pomyślność.

W zjednoczeniu z Sercem Jezusowem macie ofiarować swe cierpienia za Kościół święty, jego rozwój i triumf; za Ojca świętego i biskupów; za kapłanów i zakony, za katolickie stowarzyszenia; za rozwój ruchu rekolekcyjnego, za walczących o katolicką szkołę, o prasę katolicką; za Akcję Katolicką, do której i wy powołani jesteście, jako jej armja szturmowa, która modlitwą i cierpieniem ma przygotować teren dla duszpasterzy i ich pomocników i wspierać ich w walce i pracy około dusz.

Pomyśleć trzeba o tych milionach pogan i tysiącach misjonarzy pracujących wśród nich. Modlić się za wszystkich chorych, ofiarować się za konających, by w tej ostatniej chwili życia dusze zachowali dla Boga i szczęścia wiecznego.

Cierpienia swoje ze szczególniejszą ochotą ofiarujecie w tej intencji, by Bóg-Miłość w sercach ludzkich miłość zapalił serdeczną i uczynną dla współbraci, by katolickie towarzystwa dobroczynne wzrastały i rozwijały się duchowo i liczebnie, by

KS. JAN KAPICA

KAZANIA - MOWY - ODEZWY

Wydane przez Kółko Homiletyczne Kapłanów Diecezji Katowickiej
pod red. ks. dra. Emila Szramka • Str. 380 + XVI

Cena brosz. 10,50 zł

O wydanie kazań i przemówień ś. p. ks. infułata Kapicy jako pierwszy upominał się J. Em. ks. Kardynał-Prymas dr. August Hlond, zaznaczając, że „*będzie to prawdziwe wzbogacenie naszej literatury homiletycznej, bo rzadko czyje kazania są tak charakterystyczne i historyczne*“.

Książka tchnie zaprawdę życiem. Są w niej uchwycone fale dziejów ostatnich lat nietylko Górnego Śląska, ale nawet całej Polski, z którą po siedmiowiekowej rozłące Śląsk choć po części się zjednoczył. Jak z przełęczu Krzyżnego szczyty tatrzańskie podobne są do zastęgłych w ruchu i skamieniałych fal morza wzburzonego, tak w mowach ks. Kapicy stoi przed nami przeszłość ostatnich lat 30-tu, pełna wzruszeń, wstrząsów i przełomów. Dwujęzyczność książki, w której są także mowy niemieckie, wrażenie to jeszcze potęguje.

Zamówienie

Do

Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A.

KATOWICE

M. Piłsudskiego 58

Proszę o nadesłanie:

.....egz. Ks. Jan Kapica, **KAZANIA - MOWY - ODEZWY**

Str. 380 + XVI. Cena brosz. 10,50 zł

Wypełnić, odciąć, podać drugostronnie nazwisko i adres i wysłać.

B K O 304 324

Ks. Kapica nie znał węgierskiego pioniera nowoczesnej homiletyki ks. Totha, ale samorzutnie postępował podług tegoż recepty, że kaznodzieja, gotując się do kazania, mieć powinien po prawej ręce Ewangelię, a po lewej dzienniki. Wszystko u niego jest świeże, konkretne, plastyczne, aktualne. Wszak to mówca z Bożej łaski!

Słynne były jego misje trzeźwości. Czuł z apostołem „Caritas Christi urget me“ i gdzie nie znajdował wydeptanych dróg duszpasterskich, torował z wielkim wysiłkiem drogi nowe. Jeszcze dziś niektórzy kazania jego z tego czasu pamiętają.

Dla wyprowadzenia myśli katolików z ciasnych zaułków upodobań prywatnych i dusznych uliczek partyjnych i innych na szeroki szlak akcji katolickiej, kapłan i laik rzadko gdzieindziej znajdzie tak jasne pojęcia przewodnie, jak u ks. Kapicy, zwłaszcza w jego wykładach o „Astronomji życia“, wypowiedzianych kiedyś przez Polskie Radio w Katowicach. Tak przemawiać mógł tylko nauczyciel z Bożej łaski, który z najwyższego szczytu wykształcenia sumiennie sprawę zdaje z manowców błędzącej myśli ludzkiej i wskazuje tego, „w którego światłości oglądamy światłość“ (Ps. 35, 10), a który jedyny „jest drogą i prawdą i żywotem“ (Jan 14, 6).

Nadawca:

Do

**Księgarni i Drukarni
Katolickiej Sp. Akc.**

Katowice

Marsz. Piłsudskiego 58

zjednoczone w związki diecezjalne i parafjalne, przy boku biskupów i proboszczów, ojcowską i macierzyńską miłością ogarnęły wszystkich pomocy potrzebujących.

Powiedzcie, Drodzy Chorzy, czy nie wspaniałe to pole pracy? Czytając to, widzicie, jak drzwi i okna waszych mieszkań otwierają się naościę, jak ściany się niemal rozsuwają, a przed wami rozprzestrzenia się widok na szerokie i dalekie pola. Jednostajny, bezbarwny, nużący widok pokoju chorego zmienia się w zaludniony, obszerny, żywy krajobraz, w scenę, której jesteście nie tylko widzami, ale i uczestnikami. Jaka piękna wasza rola, jak wiele możecie pomóc waszemu proboszczowi, waszej diecezji, Ojcu świętemu! Czyż teraz możecie jeszcze myśleć: jestem do niczego, bez pożytku, tylko utrapieniem, ciężarem dla innych?

O nie, błogosławieństwem jesteście, apostołami jesteście, ratunkiem dusz jesteście! Właśnie wy chorzy, wy pracujecie w tem więcej niż wielu zdrowych. Jesteście ubłogosławionymi dziećmi Boga, szczególniejszymi ulubieńcami i przyjaciółmi nieba i ludzi, tymi, którzy biednemu światu szczęście i pokój przynieść mają.

„Cierpliwi, ofiarni, święci chorzy mogą uratować świat od moralnej zagłady... Oby Opatrzność Boża znalazła w wielu świętych chorych pośredników do świadczenia dobrodziejstw innym“ (List Biskupa Callier z Haarlemu w maju 1926 r.)

By to wielkie błogosławieństwo waszego cierpienia jeszcze większe było, połączcie się razem — wszyscy chorzy!

„Albowiem, gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich“ (Mat. 18, 20). Słowa te odnoszą się do wspólnej modlitwy, a jeszcze lepiej stosują się do wspólnie ofiarowanego cierpienia. Więc hasłem katolickiem jest: Chorzy katolicy, łączcie się!

Tę natchnioną od Boga myśl tak zgodną z pragnieniami Serca Jezusowego, pełnego miłości i jedności, podejmuje Dzieło Apostolstwa Chorych. Stając się jego członkami wstępujecie pod sztandar Chrystusowej miłości i jedności, spełniacie hasło ewangeliczne łączenia się „w imię Jezusa“. Trwajcie w tej łączności apostoelskiej, o którą tak bardzo modlił się Jezus: „aby byli jedno!“ Chorzy Polacy-Katolicy — łączcie się!

Piszcie zaraz po wszelkie bliższe informacje pod adresem: Polski Sekretariat Apostolstwa Chorych, Lwów, ul. Fredry 3.

Wszelkie druki propagandowe i listy miesięczne dla chorych wysyła się darmo i opłatnie. Wkładek obowiązkowych niema — przyjmuje się tylko ofiary dobrowolne (PKO. nr. 101.408, Warszawa). Do listopada 1932 roku wydano w Polsce ponad 10.000 dyplomów przyjęcia.

Przeczytaj jeszcze raz uważnie ten list — rozważ go dobrze — pomódl się za chorych — za Apostolstwo Chorych — pisz do Sekretariatu po dalsze wiadomości — list podaj innym do czytania.

Ks. Michał Rękas.

Nieco ze świata.

6000 policjantów w New Yorku przystąpiło do Komunii św.

W dniu 2 kwietnia w katedrze w New Yorku odbyło się uroczyste nabożeństwo celebrowane przez kardynała Hayes, na którym było obecnych przeszło 6000 policjantów, członków Towarzystwa Imienia Jezus. W czasie Mszy św. wszyscy obecni członkowie policji przystąpili do Komunii św. Pochód policjantów z katedry do hotelu Astor, w którym odbyło się przyjęcie, wywołał wielkie wrażenie wśród publiczności na ulicach miasta.

Nawrócenie masona w Anglii.

W końcu marca r. b. zmarł w Londynie Daniel Mc. Neill, który był zażartym wrogiem Kościoła, a przed samą śmiercią nawrócił się na wiarę katolicką. Mc. Neill jeszcze jako młodzieniec, mając lat 20 wystąpił z Kościoła i zapisał się do wolnomularzy. Parę lat później założył lożę masońską, której niebawem został mianowany Mistrzem. Przez 50 lat coraz bardziej oddalał się od Kościoła, zwalczając go na każdym kroku i dopiero 3 lata temu, gdy został dotknięty nieuleczalną chorobą, poczęły się w nim przejawiać pewne zmiany wewnętrzne. Jednakże dopiero przed samą śmiercią Mc. Neill zdecydował się ostatecznie zerwać ze swem dotychczasowem życiem bezbożniczem i przejść na łono Kościoła katolickiego. Były mason umarł po otrzymaniu ostatnich Sakramentów.

Korpus dyplomatyczny w Hadze na rekolekcjach wielkanocnych.

W ciągu Wielkiego Tygodnia odbyły się w Hadze do rocznym zwyczajem, praktykowanym od lat paru, specjalne rekolekcje wielkanocne dla członków korpusu dyplomatycznego, należących do Kościoła katolickiego, oraz dla wyższych urzędników trybunału, również katolików. Rekolekcje miały miejsce w kaplicy gimnazjum OO. Jezuitów. Tym razem nauki wygłoszone w języku francuskim przez znakomitego kaznodzieję O. Lhande, zostały wysłuchane przez cały korpus dyplomatyczny in corpore, bowiem byli obecni nie tylko katolicy ze swemi rodzinami, ale również i kilku dyplomatów protestantów. Ogółem przeszło 800 osób z internuncjuszem Msgr. Schioppa na czele było obecnych na rekolekcjach. W pierwszym rzędzie zajmował miejsce Msgr. Schioppa w otoczeniu przedstawicieli wszystkich państw, reprezentowanych w Hadze.

Po zakończeniu rekolekcyj w Wielki Czwartek w salach kolegium odbyło się przyjęcie.

Redaktor: Ks. Józef Czernecki, Katowice.

Nakładem Kurji Diecezjalnej w Katowicach.

Druk: Księgarnia i Drukarnia Katolicka S. A., Katowice, M. Piłsudskiego 58.
Prenumerata roczna 3,60 zł. — Redakcja: Katowice, ulica Marsz. Piłsudskiego 20. — Administracja: Katowice, ulica Marsz. Piłsudskiego 58.